[*Druk: „Przewodnik Katolicki”10(1929), s. 140-142.*]

Genezaret, czyli morze Tyberjadzkie
(Wspomnienia z pielgrzymki do Ziemi św.)

W on czas: Przeprawił się Jezus na drugi brzeg morza Gailejskiego, to jest Tyberjadzkiego. - Z Ewangelji na IV niedzielę Postu.

Z Kany Galilejskiej mkniemy wprost do Tyberjady. Szosa o setnych, ostrych zakrętach coraz bardziej opuszcza się w dół. Wkoło nas kamieniste rozłogi doliny El Baluf - wszerz i wzdłuż. Nagle kurzem zaprószone nozdrza napełniają się wilgotnym powiewem. Głęboko w dole mignął nam nagle błękitniejący skrawek morza. Nasz kierowca widzi nasze wzruszenie. Czuje, że dla nas to coś świętego.

Niepotrzebnie tłumaczy:

- Sidi, patrz, to morze Genezaret!

Podjeżdżamy coraz bliżej. Jaskrawo lśni jego toń, a na niej niby ptaki białe kołyszą się misterne barki żeglarzy. Nad tym wszystkim niebo południowe, oprawne w mgliste masy gór Beskuńskich i Adżiluńskich w białości niepokalanej.

Przyjeżdżamy do Tyberjady. Jedyne to miasto nad świętym morzem. Dużo tu budują, by pomieścić Żydów przybyłych z Europy. Żydzi też przeważają tu wszędzie, wypierając katolików i mahometan. Pełno ich po ulicach w najnowszych strojach europejskich. Żydówki w krótkich sukienkach z włosami podstrzyżonymi jak ich siostrzyce z za morza. Tyberjada według planów żydowskich ma się stać modnym miejscem kąpielowym. Stąd przecież niedaleko wypływają gorące źródła siarczane. Nie daj Boże! Oburzyłby się na to cały świat chrześcijański i święte wody Genezaretu...

Rzecz dziwna, że to pogańskie miasto Herodowe, zbudowane kiedyś na miejscu dawnego cmentarza, a zamknięte dla prawowiernych Żydów, stało się głównym ich siedliskiem. Wszak w jego murach, po upadku Jerozolimy, mieścił się wielki Sanhedryn, główna rada żydowska. Tu stała Miszna i Gemara, czczone przez Żydów księgi talmudystyczne. Tu nauczali wielcy i sławni rabini Bar Anonima, Judah, Maimonides.

Zajeżdżamy do klasztoru gościnnych OO. Franciszkanów. Klasztor ich zbudowany tuż nad morzem. Przeraźliwie gorąco w murach. Więc coprędzej wybiegamy za miasto.

Idziemy wzdłuż Genezaretu. Idziemy upojeni szczęściem, którego wysłowić nie można. Bo Genezaret to klejnot Galilei. Jego wody do opalu podobne, który co chwilę zmienia różnobarwny swój połysk.

A wkoło tych wód niebotyczne góry, co rzeźbioną mu tworzą oprawę. Tam na północ Korazeńskie błękitnieją wzgórza, a na wschód ucięte szczyty płaskowzgórza Gaulanu. Na zachód zaś wysoko strzelają wyżyny Safedzkie, strome zręby Wadi Hammar i szczyt Arbelski. Ale przede wszystkim Chrystus jest tutaj. Czujemy Jego bliskość tak jak nigdy. Unosi się nad wodami, do nas się zbliża i nas wita... A złote Jego włosy falą świetlaną otoczyły Mu głowę i z wiatrem igrały wieczornym...

Szliśmy długo nad wybrzeżem. Jest tam wygodna ścieżyna, zawalona tylko raz po raz wszelakimi kamieniami. Na brzegu muszelek też pełno, wyrzuconych przez fale. Zaczekaliśmy trochę. Przechodzili jacyś Arabowie, co brzdąkali na bandżo. Inni wtórowali im przyduszonym śpiewem. Nie wiem, czy to był pochód poślubny, czy jakaś wycieczka za miasto.

Postanawiamy się wykąpać. Woda taka czysta. Nie oddalamy [*s. 140*] się zbytnio od brzegu, bo często napotyka się niebezpieczne głębie. Skały większe i mniejsze wynurzają się z nurtów. Czepiamy się ich kurczowo, a fale obryzgują nas, przelewają się, wzbierają i znów odpływają w monotonnym pogwarze. Woda czysta, przezroczysta jak kryształ. Widać na dnie kamyki i muszelki. Pluskają się rybki wkoło nas: karasie, okonie, ryby Piotrowe i Chrystusowe, płaskie a długie, tak nazwane przez rybaków tubylczych. Płyną blisko nas. Snąć czują dobrze, że to pielgrzymi, co im krzywdy nie wyrządzą żadnej.

Wychylają swe główki nad wodą. Patrzą, azali z Betsajdy łódź nie płynie rybacka - jak kiedyś przed tysiąc dziewięćset laty. Tu znowuż zbierają się w gromadę, jak gdyby się umawiały, że z nich żadna nie poleci w niewód Piotrowy, póki im Ten nie rozkaże, któremu wiatry i morza są posłuszne.

Trzeba wracać, „boć ma się ku wieczorowi a dzień ku zachodowi się zbliżył”. Słońce zachodzi w krwawej spowite purpurze. Szczyty gór mienią się jak rubiny. Powoli nikną w niewyraźnej, modrawej szarzyźnie. Przepyszna gra światła. Woda coraz bardziej błękitna, a nad nią przedziwny seledyn nieba.

Trzeba iść - a odchodzić stąd trudno. I znowu w wyobraźni widzimy Chrystusa, tuż obok na brzegu. Tak często On tu patrzał na podobne zachody słońca. Oczy swe Boskie, czyste jak ten błękit nieba u góry, zwracał ku jasnym tym falom, na których blaski konały zachodu. A wiatr je wzdymał, a one szły szemrząc w dal ciemną, by gdzieś się rozbić o skały. A pieśń tych wód unosiła się z głębin morskich smutna, czasem cicha, żałosna. Podobna do pieśni tych ludzi niespokojnych, tęskniących, co pokój im przywrócić miał i zbawienie...

Wracamy do klasztoru. O. Gwardjan, przemiły Hiszpan, oznajmia nam, że przyjechały dwie Polki. Nie posiadaliśmy się z radości. Usłyszeliśmy też wreszcie mowę polską w tych tak odległych stronach. Zapoznaliśmy się z nimi. Niestety, nie były to Polki. Jedna Litwinka, a druga Niemka spod Ołomuńca czeskiego. Litwinka sześćdziesięcioletnia mieszka od dłuższego czasu już w Jerozolimie, będąc tam pielęgniarką w szpitalu katolickim. Najwięcej jednak zaciekawiła nas jej towarzyszka, Marja Walter. Osoba ta dobrze już po pięćdziesiątce. Kaleka na obie nogi. Wewnątrz jednak przepromieniona jakby jakąś utajoną radością. Opowiada nam, jak od dzieciństwa trawiła ją tęsknota za Ziemia świętą.

- Uszczuplałam sobie chleba, by tylko jedną i drugą koronę odłożyć na podróż. Uzbierałam ich osiemset (czterysta złotych). Poszłam do księdza biskupa, napisał mi polecenie. I puściłam się w drogę. Oj, ciężka to była droga - pieszo odbyta, a zbolałe nogi dokuczały niemiłosiernie. Ale to przecież dla Chrystusa!

Przymknęła na chwilę oczy i znowu ciągnęła dalej: Przyszłam do Trijestu - nad morze. Stały tam w porcie okręty. Jeden z nich miał płynąć do Ziemi św. Nie chciano mnie jednak zabrać, bo zamało miałam pieniędzy. Więc poszłam do kapitana statku i długo prosiłam, błagałam, obiecywałam mu posty i modlitwę przy Grobie Chrystusowym. Kapitan się zgodził, i pojechałam.

Teraz już dwa miesiące jak jestem w kraju świętym. Taka jestem szczęśliwa. Codziennie sobie pocichu płaczę, bo przecież nie jestem godna takiego szczęścia. Wszędzie już byłam. Choć idę pieszo, nogi mnie nie bolą. Nawet zdjęłam już bandaże.

Wiem ja, dobrze, że nowa to łaska Chrystusowa. Długo nam jeszcze opowiadały o swoim szczęściu i swych przygodach. Jutro rano jedziemy łodzią do Kafarnaum. Zabierzemy was z sobą - mówimy im. Nie posiadały się z radości.

O. Gwardjan przysłał nam barczystego rybaka, właściciela łodzi żaglowej. Bilad było mu na imię. Chciał od nas za przejazd dużo pieniędzy. Wreszcie stanęło na pięćdziesięciu piastrach (25 złotych). Było już późnym wieczorem. Weszliśmy na taras dachu klasztornego. Pusto na morzu. Nie widać nic prócz [*s. 141*] odblasku gwiazd. Samotne są wzgórza, co straż dzierżą królewską od wieków nad Genezaretu wodami. Ich czyste linie śpią nieruchomo na tle tej przeczystej nocy. Znowuż czujemy bliskość Chrystusową. Chodzi po morzu, zbliża się ku nam. Cały bezkresny, promienny, napełniający wszystko. Nieskończony, a jednak tak bliski, że ociera łzy z naszych oczu.

Zegar Franciszkanów wydzwania dwunastą. Trzeba już pójść. Ach, jaka szkoda! Tej nocy chyba nie zapomnę nigdy... Dokoła nas po płaskich dachach pełno ludzi śpiących. I my chcemy się przespać na tarasie. Wydawało się jednak, że to niewskazane. Poszliśmy do pokoiku. Gorąco tam jak w piecu rozpalonym. Otwieramy, więc na oścież okna, drzwi. Zresztą warto było znieść tę małą niewygodę - za Chrystusowe łaski.

O godzinie piątej rano staliśmy już przy ołtarzu Pańskim. Obie nasze znajome przystąpiły do Komunii św. Potem już razem poszliśmy do przystani. Wsiedliśmy do łodzi. Przecudny był poranek letni. Okoliczne wzgórza zarumieniły się od promieni słońca, muskających ich chropowate grzbiety. Morze było spokojne. Fala poruszana wietrzykiem porannym, pluskała cicho o boki naszej łodzi.

Bilad oraz dwaj jego towarzysze wiosłują lekko i zgrabnie. Są to ludzie silnie zbudowani o wyrazistych mięśniach. Czerwone fezy mają na głowie. Zaczynają śpiewać. Są to modlitwy z ich księgi świętej Koranu. Bilad intonuje - towarzysze mu wtórują.

Nagle zerwał się wiatr. Wkoło nas zaczęły się kłębić bałwany. Na ich krawędziach błyskała biała piana. Wioślarze rozpięli żagle. Byli zadowoleni, bo mogli wypocząć. Towarzyszki zaś nasze jęły płakać z przerażenia. „Burza na morzu” - wzdychała Marja Walter.

- Czegóż się bać? - pocieszamy ją - Chrystus jest z nami. Istotnie bałwany się zmniejszyły i burzy nie było. Wiatry poszły dalej, uderzyły o głazy nadbrzeżne, zwaliska i zarosłe niziny.

Niegdyś, gdy Chrystus po falach tych płynął w łodzi Piotrowej, dwadzieścia miast się w morzu przeglądało: Kafarnaum, Bethsaida, Medial, Julias, Kersa, Gamala, Hippos. Po miastach tych pozostały dziś tylko ruiny, bezkształtne kupy kamieni.

Bilad wskazuje nam po lewej stronie jakąś górę. To góra Hedżjar et Nazra, powiada. Później dowiedzieliśmy się, że to góra, na której Chrystus nakarmił zgłodniałą rzesze, o którym to cudzie opowiada dzisiejsza ewangelia św. Na jej szczycie znajduje się sporo czarnych kamieni. O jednym z nich, największym, mówi legenda, że na nim siedział Zbawiciel w czasie rozmnożenia chleba.

Dobijamy do brzegów, nad którymi wznosiło się Kafarnaum. I z tego miasta nie pozostało ani śladu. Spełniło się przekleństwo Jezusowe, za to, że nie chciało przyjąć zbawienia swego.

Jedynie dawniejszą świątynię poznać można po przepysznych jej szczątkach. Widać jeszcze ogromne filary, liście akantowe ich głowic i odłamki fryzu. Tu więc Pan Jezus ukazywał się ludowi, tu w dzień szabatu do ludu przemawiał. Podnoszę jeden z mniejszych kamieni. Patrzę nań. - Może po nim stąpały święte stopy Chrystusowe? Całuję go więc z czcią i zabieram na pamiątkę.

Siadamy znowu do łodzi, by wrócić do Tyberjady. Znowu ten sam cichy plusk wioseł, te same melodie wioślarzy. Tylko w duszy dzieją się jakieś niewysłowione dziwy i jaśniejsze jeszcze wydaje się nam obrzeże nieba i jaśniej lśnią nam Genezaretu święte wody...

X. Posadzy [*s. 142*]